



Oto ja służebnica Pańska!

Abonament roczny: 1 zł. Pojedynczy numer: 5 gr.
Abon. roczny, zbiorowy, płatny zgóry, dla Oddziałów KSK.: 50 gr.

Redakcja i Administracja: Tarnów, Pl. Katedralny 6

Telefon: 110
P. K. O.: 414.329

Odnówić wszystko w Chrystusie!

Maria Dmochowska.

Miłosierną bądź...

Kobieto polska — pamiętaj, że gdy krzyżem świętym się żegnasz — wyznając Chrystusa — miłosierną być musisz!

Rękę do serca twego przyłóż i w głos jego wsłuchaj się pilnie gdy rozlega się wołanie: „Miłosierną bądź”! Bo głos serca szepce ci: Jeśli masz dla siebie dobra doczesne, daj innym, którzy niedolę cierpią — masz dużo, daj dużo — masz mało, podziel się jeszcze — ale nigdy nie zbywaj bliźnich kłamliwym słowem: „Nie mam”! — Jeśli dla Ciebie zaledwie wystarcza — dobrym słowem wspomagaj, opiekę i pomoc potrzebującym okazuj, modlitwą wspieraj — ale nigdy nie mów: „Ja sama nie mam, to innym nie potrzebuję dawać” — Jeśliś uboga, biedna, z miłosierdzia żyjesz — bądź miłosierną dla dobrodziejów — wdzięcznością, pamięcią, modlitwą — ale nigdy zazdrości i narzekania nie daj się opanować, a jeśliś uboga i biedna, a miłosierna dłoń ludzka ku tobie się nie wyciąga — bądź ufną w Opatrzność Bożą, spiesz do Chrystusa, kłękaj przed świętym tabernakulum i wołaj: „Panie Jezu nakarm! przydadziej”! — a On cię nie zawiedzie, nie opuści, tylko Mu zaufaj, zaufaj bezgranicznie! — ale nigdy złorzeczenie, czy przekleństwo ust twoich niech nie kła, bo i ciebie miłości przykazanie obowiązuje i ty miłosierną być musisz w znaczeniu duchowym wobec tych, którzy winni jałmużną świadczyć, a tego nie czynią..

Pamiętaj, gdy krzyż na swym czole znaczysz — wyznając Chrystusa — miłosierną być musisz — Kobieto polska!

Irena Breza.

Matczyna dola.

Świtem, po zimnej rosie, deptając przydrożne trawy i zioła, szła sobie stara kobiecina. Bezzębne usta szeptały pacierze, wybladłe oczy szukały pogody na niebie. Będzie zaś, czy nie będzie? Bo do Czchowa spory kawał drogi. Żeby to Pan Jezusik nie dał deszcza, toby się pięknie, pomalutku, w sam raz zaszło na jarmark. Coś niecoś przecie dobrzy ludziska dadzą, nakupi se bułek, chleba, to i na tydzień może starczy i po chałupach nie będzie musiała się włóczyć.

Oj, jakże też to dzisiaj pięknie na świecie. Mgły takie bielusińkie, jak mleko, a słoneczko se przez nie prześwieca. Tylko Kocirbina jeszcze nie wie, czy mgła idzie do góry, czy na dół. Może ta Pan Jezusik da, że spadnie! Zimno jej trochę od tej wilgoci, dreszcze wstrząsają ciałem. Idzie więc prędzej, aby się rozgrzać. A i na Mszę świętą zdążyć by chciała. Spiesz się. Ale te biedne, starcze nogi opuchnięte w kolanach i stopach, czy to człowieka poniosą tak, jakby chciał? Ot, jakby kule miała u nóg, tak się jej czasem widzi. A tu jeszcze nierzadko o kamień się potknie, albo oset wbije między palce. Stara, to i niedowidzi. Nie dziwota. I tak jej Pan Bóg długie lata krzepkość i zdrowie dawa, że aż ludzie zazdrościli. Nigdy się do łóżka za dnia nie kładła, bo i nie było potrzeby. Dzieci z łatwością rodziła, orała i bronowała, gdy mąż był na wojnie, na zarobki chodziła, zawdy zaharowana, a przecie zawdy moc w sobie czująca i ochotę do życia, nie znająca słabości.

I dzisiaj jeszczeby niejednemu dała radę. I izbę by zamiotła i ziemniaki oskrobała i bydło popasła. Ale czy to chcą od niej pomocy? — Niedolegaś — i tyle. A przecie ręce jeszcze ma zdrowiuteńkie. Zaś nogi chore. Rękami by jeszcze poradziła, to nimi nic nie robi, a nogi, że ma kalekie, to musi po żebrach ganiać. Ano, nie narzeka, bo jakżeby, juści z wola Bożą trza się godzić, ino że jej tak jakoś okrutnie ciężko na sercu i lzy się same do oczu pchają, kiedy se wspomni. Jezu! Jezu!

Córka rodzoniusieńka matkę za próg wysiępła: „staraś, niedolegaś, nic tu po tobie. Darmo nie będziesz strawy jadła; teraz ciężkie czasy — idź na żebry”!

Drzwi za nią przywarła, za opłotki dzieciom kazała ją wyprowadzić. To i poszła. Jeny się jeszcze raz obejrzała za tymi wnuczętami kochanymi, co w głos za nią płakały i za tą chałupą, gdzie na świat przyszła, za mąż wyszła, dzieci swe wychowała. Za tą stodółką pełną zboża, za tą obórka, gdzie swoją Krasulę miała, za podwórkiem, sadem zielonym i krzewem różanym pod oknem.

I w świat... Kilka to już lat od tego straszego dnia minęło. Wnuki tymczasem podrosły, ona jeszcze więcej się postarzała, nogi bardziej popuchły, a jednak wciąż tak żywo i tak bolśnie pamięta tę chwilę, jakby to było wczoraj.

Córka! Córka rodzona! Robak toczy serce matczyne. Kocirbina jednak cierpi w milczeniu. Nigdy żadnej skargi, żadnej obmowy. Juści, za grzechy ją Pan Jezus pokarał, znieść trza w pokorze i milczeniu. Ale córka, córka!... Oby tylko na nią Bóg Miłosierny nijakiej nie spuścił kary. Modli się o to najgoręcej i z całej duszy. Nieraz godzinami siedząc pod kościołem, w cieniu lip rozłożystych, snuła najskrytsze, najmiłośniejsze marzenie: aby ją córka jej umiłowana znowu przyjęła w dom, między wnuki, aby se zaraz pięknie oczy zamknęła i cichusieńko umarła na rękach córuchny, znów dobrej i kochającej, jak drzewiej za młodych lat. Jakże by to ślicznie było. Jagnisia by już nijakiego względem niej grzechu nie miała, a ona, matka, w szczęściu by sobie wśród swoich zakończyła ten marny żywot, nie zawadzając już na świecie nikomu.

I teraz... ranek rzeźki i biały, pachnący żywica i macierzanką usposabia do marzeń. Rzeka szumi, słońce świeci, mgły się unoszą ku niebu, Kocirbina coraz żywiej spieszy, rozmyślając nad tym życiem, co to kiedy dziś dobre, jutro może być złe, dziś złe, jutro może być dobre. Gdy się tak dużo chodzi, jak ona i tak dużo ma się czasu, to się o tym i o owym pomyśli, popłacz nad niejednym i pomarzy sobie — ot choćby o śmierci szczęśliwej.

Głos srebrnej sygnaturki przerwał Kocirbinie tok tych rzewnych, a smętnych myśli. Przyspieszyła kroku, by zdążyć na Mszę świętą.

W dwa tygodnie potem dążyły na jarmark tym samym gościńcem dwie sąsiadki.

— Jakżeż to było, kumo kochana, opowiedzcie, bo wy to najlepiej wiecie.

— Ano wiem, bom przecie tak jak i ona na tym jarmarku była. Oj biedactwo, biedactwo, wstydu to się za życia najadło, niedoli się nagryzło, a chleb rzadko miało w ustach. Latem to tam jeszcze pół biedy, łatwiej jej było chodzić, tu i tam się zawłokła, niejeden wspomógł. Ale zimą? Ani odzienia nie miała jak trza, ani się gdzie wyspać porządnie, bo wicie, u tej Maryśki na kumorze była, ale jaka to tam kumora: mróz, głód i serca złe. Dobrze, że nieboga na zawsze oczy zamknęła; będzie jej lepiej na tamtym świecie.

— Wyście ją tam somsiadko odwiedzali, to i wicie, co było. Prawią, że zapalenie płuc?

— Tak, prawda. Przeziębła się. Jak wracała ze Czchowa, z tego jarmarku, okrutnie się rozlał deszcz. Już się źle czuła, zmęczona była, zimno nią trzęsło i chciała się gdzie ogrzać przy kominie. Ale jacy to ludzie dziś źli. Zaszła do dwóch chałup, to ją psami wyszczuli. Szła osiem kilometrów na taką ulewę, aż ją zesłabiło, stareńka przecie już była; siadła więc w rowie, bo dalej już iść nie mogła. Szczęście całe, że szła ta poczciwa Cetnarka. Złote serce. Zobaczyła Kocirbinę w rowie, skrzyzczała, że do niej zaraz nie przyszła, wzięła pod rękę i poprowadziła do chaty. W łóżku ją zaraz ułożyła, dała gorącej herbaty, mleka, nogi ogrzała i wicie, jak

siostra rodzona koło niej chodziła. Pięć dni. Córce dała znać, że u niej na zapalenie płuc jej matka rodzona leży. Ale ta wyrodna nie spieszyła się. Dopiero, jak już koniec nadchodził, przyszła wreszcie.

— Boże, Ty miłosierny Boże! Co się ta Kocirbina nacierpiała na starość. Marzła, głodowała, w łachmanach chodziła, ona, co se kiedyś gospodynią była na 10 morgach — panią se była. A nigdy ani słoweczka. Żeby kiedy jaka skarga, albo żale jakie. Nigdy! Ino zawdy, jak jej kto co mówił, to odpowiadała: Czasy ciężkie, moiściewy, bardzo ciężkie, córka dzieci ma dużo, wdowa, to i trudno jej wyżyć. I szła dalej, szepcząc pacierze i uśmiechając się do wszystkiego. Takie już, wicie kumo, dobre to było z kościami.

— I tak pięknie umarła. Słyszeliście może?

— Mówili mi ludzie. Ale mi to jeszcze opowiedzcie, bo wyście była przy niej, to i najlepiej wiecie.

— Piękna to była ta śmierć żebracki Kocirbiny. W nieprzytomności wydało jej się, że to córka jej, Jagnieszka, koło niej chodzi. Nie poznała Cetnarki. Oj — mówiła — wysłuchał mię Pan Jezusiczek, córuchna jedynaczka do domu mię wzięła, na pierzynie ułożyła, starunek mi daje. Teraz mi już tylko umierać. Zrobiła się przytomniejsza i poprosiła o księdza. Potem, kiedy śmierć się już zbliżała, zawołała: Jagnisiu, Jagnisiu! Właśnie wtedy Jagna weszła nareszcie do chaty na ostatnią jej chwilę. Na szczęście! Zbliżyła się nieśmiało i z trwogą wielką do matki. A matka za rękę ją bierze, ścisła czule i ze łzami w oczach, a wielkim wysiłkiem powiada: Jagnisiu, córuchno moja, zawdym wiedziała, że mię w ostatniej godzinie życia nie opuścisz. Dzięki ci! Tak mi tu dobrze u ciebie. Teraz mogę już spokojnie umierać, bo wiem, że ci Bóg przebaczy, tak, jak ja ci już dawno przebaczyłam, córuchno. Bądź zdrowa! Matki Najświętszej polecam się opiece. — Gdzie moje wnuczęta? — zapytała jeszcze słabnącym głosem i przyknęła oczy. Słyszeliśmy wszyscy, jak szeptała: O Jezu, Jezu! nie karz mię za grzechy moje, o Jezu, Jezu pobłogosław córce mojej Jagnisi. Amen. — Westchnęła i umarła. Żebyście byli widzieli, jak teraz ta Jagnieszka rozpacza. Juści nie dziwota, że jej skamieniałe serce stopniało od tej matczynej dobroci i świętości. Zdawało się, że ją zabije żal i boleść i wyrzuty sumienia. Padła na kolana przed łóżem matki, po rękach ją całowała i płakała okrutnie. Teraz, mówią, smutna chodzi, na Msze święte wciąż daje za duszę matki i różaniec odmawia, cicha jak i spokorniała.

— Boże, mój Ty Boże jedyny, a toż ją, nieboraczkę, musi teraz serce boleć i sumienie gryźć. Wytrzymać jej będzie trudno.

— Strach pomyśleć.

— Mnie się widzi, cobym nie wydoliła.

— I mnie też. Juści, co mi zawdy było żal Kocirbiny, ale tej Jagnieszki teraz jeszcze więcej. Niech ją ta Bóg miłosierny ma w swojej opiece.

— O! Nie opuszczaj jej dobry Boże!

W Y C H O W A N I E

Maria Starowiejska.

Dziecko lęliwe.

Zdarza się czasem, wśród gromady małych wiejskich zuchów, dziecko, które odbija się od innych swoim zachowaniem. Lęka się ono wyjść na podwórze, samo z domu nigdzie się nie ruszy, do ciemnej sieni za nic się nie odważy iść, cofa rękę przed pieskiem, nieśmiało wobec starszych, z rówieśnikami milczące i nieswoje — jednym słowem zawsze skurczone i zahukane.

Tak przedstawia się biedactwo w domu. A jaki los czeka je w szkole? Oczywiście znacznie gorszy. Młodzież jest nielitościwa, samolubna i despotyczna, nieśmiałoemu dziecku żyć nie dadzą, albo przy każdej sposobności krzywdzić i pomijać będą, aż w końcu samo nabierze przekonania o swojej mniejszej wartości, cofać się będzie i usuwać od współżycia z innymi, z wielką prawdopodobnie szkodą dla rozwoju charakteru i umysłu.

Nie zapominajmy, że tego rodzaju natury kryć mogą w sobie skarby, które wobec złego traktowania nigdy się nie ujawniają i mogą pójść na marne, nie ujrzawszy dziennego światła.

Specjalnie pożałowania godnymi są wśród trwożliwych dzieci sieroty, wychowujące się u obcych, albo zdane na gromadne traktowanie w zakładach dobroczynnych — o tym przekonywać czytelnik nie potrzeba.

Jakże doniosłą rolę ma wobec takiego dziecka matka bogobojna.

Jak postępować w rodzinie z dzieckiem, u którego zawczasu daje się spostrzegać niezwykłą trwożliwość?

Przede wszystkim należy zbadać, czy powód

nie leży w ustroju fizycznym, czy nie jest to wada serca, lub systemu nerwowego. Sędzią może być tylko lekarz, a do jego orzeczenia i przepisów ściśle stosować się trzeba.

W wypadku szczęśliwym, gdy lekarz wykluczy wszelką wadę organiczną, jak ma troskliwa matka dziecko prowadzić i wychowywać?

Oczywiście nieco trudniejsze będzie miała zadanie, niż z dziećmi normalnymi i powinna niezmiernie być ostrożna, aby nie popełniać błędów, których skutki łatwo na całym życiu zaciężyć mogą.

Dla dziecka trwożliwego bądź, matko, bardzo wyrozumiałą i bezgranicznie łagodną. Pamiętaj, że droga jego jest przykrą — lęk, który wyrasta przed nim, co chwila z niewiadomych powodów i bez powodu zatruwa słoneczny ranek jego życia.

Takie dziecko należy rzeczywiście i dosłownie prowadzić za rękę i nie narażać na obawy i spotkania, które drugim wychodzą na dobre, a broń Boże, nie zawstydzają i nie wyśmiewają. Nie posyłaj lękliwego malca do sklepika, jeśli wzdłuż drogi psy wiejskie wzbudzają w nim trwogę, ale pójdz z nim raz i drugi sama, niech się przekona, że od dobrych piesków, w biały dzień nie grozi mu nic złego.

Nie narażaj go na spotkanie z obcym bydłem, ale perswazją i umiejętnym obejściem pokaż, że krowy są przeważnie poczciwe, a tylko drażnić zwierząt w ogóle się nie powinno, ani kotka, ani indyka, ani pszczoł.

Gdy dziecko blednie na odgłos grzmotu, czy piorunu, wytłumacz mu przyczynę huku, jako zjawisko przyrodnicze. Nie opowiadać nigdy dzieciom bajek o brodatych zbójcach, wiedźmach, cyganach i upiorach, ani o duchach potępionych, bo na tym

tle lęk wyrasta jak złe ziele i może nieśmiałym dzieciom zakłócać godziny spoczynku, wytrącać je z równowagi, napełniać wieczory i ciemne zakątki domów postaciami, snutymi z wyobraźni, a przeważnie wrogimi.

Takie biedne dziecko nieraz długo męczyć się będzie, a nie wyzna nikomu swej udręki, jeśli w otoczeniu swym nie znajdzie osoby życzliwej i wyrozumiałej, która spokojnym głosem i łagodnym zaprzeczeniem mary rozwieje, udowodni, że strachów nie ma; nauczy nieszczęsnego marzyciela patrzeć realnie o każdej godzinie dnia i nocy.

Dziecku zasypiającemu trzeba rączki złożyć, znakiem krzyża przeżegnać, powierzyć głośno Panu Bogu, zaręczyć mu, że dobry Anioł Stróż nad nim czuwa i nie odstąpi całą noc, — nie siedzieć przy nim aż zaśnie ale natchnąć przekonaniem, że jest przez Opatrzność dostatecznie strzeżone.

Wdrażać pomału do przedsięwzięć takich, jak wspinanie się na drzewa, jak przejażdżka na koniku, na wysokiej furze snopków, na łyżwach po wypróbowanym lodzie; chronić od wypadku, któryby zdobyte początki śmiałości cofnął i zniweczył, zachęcać, pochwalać, gdy się na coś trudnego odważyło; nie upokarzać, nie nazywać nigdy tchórzem, pamiętać, że odwaga fizyczna mniej jest od woli zależną, niż t. zw. odwaga cywilna, czyli narażenie się na śmiech i drwiny, w razie spełnienia szlachetnego czynu, wbrew postawie i opinii ogólnej.

O tych obu typach odwagi dziecku należy mówić w formie powabnej i przystępnej; w ten sposób potrosze opanuje ono „swoją“ lękliwość, a wyrabiać zacznie odporność i, da Bóg, wyjdzie z lat dziecięcych z dostatecznym zasobem dzielności, aby stawić czoło trudnościom, od których życie się jeży.

Anna Konopczyńska.

Religia w szkole.

(Ciąg dalszy).

Omawiając w dalszym ciągu sprawę nauki religii w szkole, wiele myśli nasuwa się każdemu z nas. Zdajemy sobie sprawę z zasadniczych wartości nauki religii w szkole, przejdźmy i zastanówmy się nad wartościami życiowymi, powiedzmy praktycznymi.

Dawno już doszliśmy do przekonania, że dla osiągnięcia dobrego wychowania dzieci konieczna jest współpraca rodziców z nauczycielstwem.

Osobą, która z ramienia swego urzędu tak bardzo powołaną jest do pracy wychowawczej, to przecież ks. proboszcz — katecheta, czy ks. wikary — katecheta. W pracy swej łączy on duszpasterstwo w swej parafii wraz z godnością i pracą nauczyciela — wychowawcy szkolnego. Przy lekcjach religii ma możliwość i czas na dobre, gruntowne po-

znanie duszyczek, charakterów, usposobień swych uczniów, a przez to ma ułatwione kierowanie nimi. Ileż to razy zdarza się, że po posłusznej i uczciwej pracy pod kierunkiem księdza katechety w szkole, zostaje ten wpływ na całe nasze życie. Ks. katecheta przestaje być potem naszym nauczycielem, a zostaje duszpasterzem-przyjacielem. Wspiera nas radami i pomocą, a jakże często kieruje życiem naszym całym. Przeżywa wraz z nami życia bóle, troski i radości.

Tak jest i bywa w normalnych warunkach życia społecznego, w wolnej, niepodległej Ojczyźnie.

Ale dobrze będzie też wspomnieć, czym była nauka religii w szkole dla dawnych pokoleń, za czasów przedwojennych, w niewoli Moskale, Niemca.

Jakież to były ciężkie i smutne czasy! Nie tu w Małopolsce, gdzie panowała względna swoboda, ale na przykład pod zaborem rosyjskim, na dalekich kresach wschodnich. Ludności polskiej było tam bardzo dużo: rzemieślników, kolejarzy, urzędników, lekarzy. Tam lekcja religii w szkole to była jedyna godzina, kiedy się słyszało żywe słowo pol-

skie. Wszystkie przedmioty wykładano w języku rosyjskim, a nauka języka polskiego, jako przedmiotu, została wprowadzoną dopiero po 1905 roku.

Ksiądz katecheta kształcił w wykładanym przez siebie przedmiocie: katechizmu, liturgii, czy historii Kościoła — nasze uczucia ku Bogu i ku Polsce. Jakże pięknie i mądrze umieli nasze serca pociągać i rozgrzewać do ofiarnej pracy dla świętego celu. W ich rękach i pod ich kierunkiem rozwijała się praca nad kształceniem młodzieży polskiej, tajna, ukryta przed rządem rosyjskim. Uczono historii polskiej, języka polskiego, uczono jak być niezachwianym katolikiem-Polakiem, a praca ta odbywała się tajnie, z trudem wielkim i niebezpieczeństwem jak największym. Iluż księży katechetów gorzko pokutowało za swoją pracę nad duszami polskiej młodzieży.

Dziś, gdy dzięki Bogu nasze dzieci chodzą do polskiej szkoły, my starsi wspominamy z gorącą wdzięcznością lekcje religii w szkołach rosyjskich, lekcje, które niejednego z nas nauczyły znać, rozumieć i kochać Polskę.

Irena Breza.

Stosunek do służby.

Lektura.

Jest ciche, niedzielne popołudnie. Zosieńka się nudzi. Mamusia śpi, chodzi więc na paluszkach, by jej nie zbudzić i nie wie, co robić. Niania dostała urlop i poszła do domu. Zosia musi sama dzisiaj się bawić. Więc się nudzi. Na szczęście przypomina sobie, że w kuchni siedzi jej kochana Agatka, poczciwa starowinka. Pójdzie do niej porozmawiać trochę. Wspina się na paluszki i puk, puk do drzwi. Zaskrzypiały zlekka i już dziewczynka drobne rączki opiera z zaufaniem na kolanach siedzącej kucharki.

— Agatko! A co Agatka robi?

— Czytam, kochanie.

— Tak jak tatuś i mamusia?

— Tak, kochanie.

— To trzeba być cicho, prawda?

— Ach ty moje kochanie, ty sreberko, a figluż że sobie, wiele chcesz.

— Agatko?

— A co?

— A ciemu Agatka cita?

— Bo dzisiaj jest niedziela, Zosieńka wie, i stara Agata ma wypoczynek. A mamusia Zosieńki taka dobra i zawsze już od lat daje Agacie w ten dzień do czytania tę śliczną książkę.

— To Agatka umie citać? A ja myślałam, że tylko tak: siuru, puciu, chlaštu, hecia, groch do garnka, chleb do piecia.

— Ha, ha, ha — śmieje się stara sługa.

— Ciemu się Agatka śmieje? — pyta niepewnie Zosia. — To przecież siana Agatka mię tego naucita.

— O! Ty moja ślicznotko jedyna!

I Agatka z nadmiaru rozczulenia swoje „sreberko“ szczebiotliwie sadza sobie na kolanach, na nos zasada okulary i z nabożeństwem poczyna dziecku nieznaną pokazywać księgę. Najpierw okładki purpurowe, a na nich złote litery: „Żywoty Świętych“, potem wewnątrz. O! Co tam za cuda się mieszczą. Tu Matka Boża w anielskich chórach, tam Trzej Królowie dążą do Betlejem, zaś tu św. Jadwiga, księżna i wielka pani, żebrakom nogi obmywa. Jeszcze dalej Jezusik maleńki w błękitnej szatce baranki pasie. Tam św. Kazimierz, polski królewicz, się modli, tu św. Barbara patrzy z wieży. Dziecko jest oczarowane. Niezwykłe przeżywa chwile.

— Ach, taka śliczna ta książka Agatko, niech mi z niej Agatka baśnie psiecita.

— To nie baśnie, Zosieńko, nie baśnie, ino prawdziwe, wielkie i święte rzeczy — powiedziała z powagą Agata.

— O! Prawdziwe? Święte rzeczy? O! Agatko! citaj mi, citaj.

I maleńka dłoń dzieciny pieszczotliwie głaszcze pooraną twarz.

Raz po raz otwierały się przed dzieckiem coraz to nowe karty niebiańskiego świata. Tak się zaczytały obie, że nie słyszały, jak do kuchni weszła pani.

— Zosieńko, w niedzielę nigdy nie trzeba prze-

szkadzać Agacie, Agatka ma wolne po południu, aby wypocząć do woli.

— Proszę pani, my tu z Zosieńką cudownie się zabawiamy. Czytałam ślicznotce Żywoty Świętych. Płakałyśmy razem, śmiałyśmy się ze szczęścia.

— To pięknie Agato, ciesz się, że Agata wiarę świętą w dziecięciu umacnia. Bóg zapłać Agatce.

Odtąd co niedzielę w czas słotny latem, a zawsze zimą siedziały razem — stara czytelniczka i mała, zasłuchana „ślicznotka“ nad księgą świętych.

Już Zosia panią była dorosłą, a jeszcze z Agatką spędzała długie godziny; tylko że już nie Agatka czytywała, ale Zosia, bo staruszcze całkiem z latami wzrok się popsuł.

Dzisiaj Zosia jest już panią. Mieszka na wsi. Ma bardzo dużo książek i wiele czyta, ale zawsze najdroższym dziełem jest księga w czerwonej oprawie ze złotymi literami.

Idąc za przykładem matki, daje co niedzielę swej licznej służbie ową cenną pamiątkę: „Żywoty Świętych“. Co więcej, sama zasiada wśród uszczęśliwionej gromadki i czyta im głośno.

Dołączają się do słuchaczy pobliskie sąsiadki, a niejedna z nich wracając do domu, to samo czyni, co pani Zofia. Czyta głośno pożyteczne książki swej pastuszce, czy parobkowi.

U Sołtyski tak się to spodobało w domu, że dziś już nie tylko służba korzysta z lektury, ale i dziatwa zasłuchana z rozkoszą garnie się do matki i męża, pan Sołtys, człek światły i w gazetach czytany, chętnie sobie pyka fajeczkę w pobliżu i wciąż się nieznacznie ku żonie przysuwa, aby ani jednego nie uronić słówka.

Brat Andrzej.

K U Z J E D N O C Z E N I U Z B O G I E M

Piękna uroczystość Podwyższenia Krzyża Świętego w dniu 14 września wywiera na każdej duszy chrześcijańskiej głębokie wrażenie. Jakaż zmiana w odnoszeniu się do krzyża! W starożytności śmierć na krzyżu była najbardziej upokarzająca, a dziś narody kulturalne czynią krzyż znakiem szacunku! Nawet ludzie zwalczający chrześcijaństwo pragną być dekorowani znakiem krzyża! Zastanówmy się w tym miesiącu, czym jest i czym być powinien krzyż w życiu naszym.

I. TYDZIEŃ.

NASZA CHWAŁA.

Chorągiew pułku wojska jest oznaką Ojczyzny; im więcej otrzymała ona kul w bitwach, im bardziej pociski nieprzyjacielskie potargały ją — tym więcej jest sławna, tym więcej przynosi ona szacunku pułkowi. Pozdrawiają ten znak wszyscy, gdyż on jest chwałą żołnierza.

Jesteśmy żołnierzami Jezusa Chrystusa. Święty Paweł bowiem mówi: „Pracuj, jako dobry żołnierz Jezusa Chrystusa”. Chorągwią i znakiem szacunku żołnierza Chrystusowego jest krzyż. Wbiły na Kalwarii, zwyciężył szatana i grzech i odkupił świat. Niesiony przez apostołów na cały świat, uchrześcijanił narody i zaszczytował wszędzie prawdę i dobro.

Krzyż Chrystusów — to nasza chwała! „Nie daj Boże, abym się chlubić miał, jedno w krzyżu Pana naszego, Jezusa Chrystusa” — woła św. Paweł.

Zastanów się teraz nad sobą, matko katoliczko, i odpowiedz sobie: Jak odnosisz się do krzyża Chrystusowego? Jak wpajasz w serca dzieci i otoczenia miłość i cześć dla tego znaku zbawienia i chwały? Czy radujesz się wewnątrz, należąc do religii Chrystusowej, religii krzyża?

Niech w twym życiu całym znak krzyża będzie dla ciebie znakiem zbawienia i chwały. Bój się, by kiedykolwiek nie opuścić tego znaku, by nie przejść przez grzech ciężki pod znak szatana, znak potępienia i odrzucenia!

II. TYDZIEŃ.

NASZA PODPORA.

Każdy człowiek ma w swym życiu chwile obaw, słabości i oziębłości w służbie Bożej. Te chwile czynią wpływ szatana potężniejszym na duszę, a praktykowanie cnót o wiele trudniejszym zadaniem! Gdzież można znaleźć podporę w tych chwilach ciężkich oziębłości ducha? Biermy krzyż! W krzyżu bowiem zbawienie i podpora.

Nieraz znów nieszczęście straszne spada na nas i przygniata nas okrutnie. Kto w życiu nie wylewał łez, nieraz aż zbyt gorzkich? Kto z nas nie odczuł, jak niezmiernie dręczy człowieka nieszczęście?

Oprzyjmy się o krzyż; w duszy nastanie cisza i spokój; „uspokajając przez krew krzyża Jego” — mówi św. Paweł.

Straszną dla nas jest potęga piekła. Szatan, jako „lew ryczący kraży, szukając, kogoby pożarł”. W chwilach pokus, zwłaszcza nieczystych, jakże słabym się czuje człowiek! Gdzież znów znajdzie ratunek i podporę? Oto w krzyżu Chrystusowym! Piekło ustępuje przed potęgą krzyża. Gdzie ten znak widnieje — tam moc szatana niknie.

Znów zastanów się nad sobą, niewiasto katoliczka, i odpowiedz sobie: U kogo szukasz ratunku i podpory w chwilach oziębłości, w nieszczęściu, w pokusach? Czy biegniesz do krzyża Chrystusowego?

Odpowiedz sobie na to — i poczyn zbawienne postanowienia.

III. TYDZIEŃ.

NASZA NADZIEJA.

Przechodzimy wśród życia obok tylu pokus, obok tylu brudów moralnych, tylu zasadzek złego ducha — że nam trzeba szczególnej łaski Bożej, by wytrwać w dobrym aż do końca. Ale jest coś, co nam daje słodką nadzieję wytrwania. Oto miłość krzyża, oraz praktykowanie i wyznawanie śmiałe i odważne Ewangelii św.: „Nie wstydzę się Ewangelii” — wołał św. Paweł, pełen chrześcijańskiej nadziei.

Krzyż Chrystusów, ukazujący się w dniu Sądu Ostatecznego, wyda wyrok potępiający na tych wszystkich, którzy w swym życiu zapomnieli o Jezusie Chrystusie, o Jego świętej Ewangelii, o Jego krzyżu... Dlaczegoż nieszczęśliwi wstydzili się krzyża i ewangelii?

Dla tych zaś, którzy szli przez to życie z krzyżem Chrystusowym na piersiach i w sercu — będzie on zbawieniem i nagrodą wieki. Za swe cierpienia, umartwienia, trudy w zachowywaniu przykazań Bożych — otrzymają nagrodę, której wielkości „ani oko ludzkie nie widziało, ani ucho nie słyszało...”

Religia Chrystusowa — jest religią krzyża. Są pewne przykazania w tej religii, których zachowanie domaga się od żony i matki wielkich ofiar i zaparcia. Trzeba je spełnić. Bo wtenczas, krzyż Chrystusów przyjęty ochotnie na barki, świeci nam w życiu nadzieją wieki szczęścia.

Zastanów się nad tym, niewiasto katoliczka, i wyciągnij dla siebie praktyczne postanowienia.

IV. TYDZIEŃ.

NASZ ZNAK ZWYCIĘSTWA.

Cesarzowi Konstantynowi ukazał się we śnie krzyż, okolony napisem: „W tym znaku zwyciężysz!” I rzeczywiście, cesarz Konstantyn w tym znaku zwyciężył.

Wszelako znak krzyża Chrystusowego, wedle proroctwa Symeona, jest znakiem, któremu sprzeciwić się będą. Historia mówi nam o wielkich i licznych nieprzyjaciolach krzyża Chrystusowego. Legli oni jednak wszyscy w mogiłach, a krzyż zwyciężył...

Dziś tych nieprzyjaciół jest wielu. Prześladują oni Jezusa Chrystusa, prześladują Jego krzyż, prześladują Jego sprawę... Czy zwyciężą? — — —

Pan Jezus, żegnając się w przeddzień Swej męki z apostołami, powiedział im: „Niech się nie trwoży serce wasze, ani lęka. Ufajcie, Jam zwyciężył świat!”

Jak bardzo na czasie jest przypomnienie tej prawdy w obecnej chwili, kiedy sprawa Chrystusa Pana ma tylu przeciwników. Zwalczają oni Kościół św., zwalczają Jego dzieło, t. j. Akcję Katolicką. Cierpią bardzo członkowie Akcji Katolickiej. Ale przy nas zwycięstwo! Bo idziemy pod znakiem krzyża Chrystusowego — a On jest dla nas znakiem zwycięstwa!

Zastanów się nad tym dobrze członkini Akcji Katolickiej i chociażby cię za twą pracę w szeregach KSK. spotykały uszczypliwe uwagi, albo nawet prześladowania — nie zrażaj się, ale mężnie trwaj pod znakiem krzyża, bo w nim nasze zbawienie i zwycięstwo!

Teresa Szyrajew.

Królewskim szlakiem.

(Ciąg dalszy).

Zaraz po przybyciu z Krakowa do Sącza, Kinga była narażona na wielkie przykrości ze strony Leszka Czarnego, który po śmierci Bolesława Wstydliwego za jej wolą objął rządy w Polsce. Nie chciał on uznać praw, jakie Kinga miała do ziemi sądeckiej. Leszek, po powrocie z wyprawy na Ruś, namiętnie oddawał się łowom na ziemi bielskiej i sądeckiej. Orszak jego i urzędnicy gnębili poddanych Kingi. Kinga bolała nad tą krzywdą, więc listami starała się odwrócić niewdzięcznika lekkomyślnego z tej niedobrej drogi. Gdy jednak upomnienia nie pomogły, wniosła prośbę do biskupa Pawła z Przemiankowa o pośrednictwo. Leszek zagrożony, oświadczył gotowość zadośćuczynienia woli Kingi, zrzekając się niesłusznie roszczonych praw, za co wspinałomyślnie otrzymał Biecz i Korczyn.

Aby uniknąć przykrych starć i nieporozumień, postanowiła Kinga aktem spisany zabezpieczyć klasztor na przyszłość, przekazując mu ziemię sądecką z okolicznymi wsiami. Ustanowiła w nim Ksienię nad zgromadzeniem Sióstr, któreby wyrzekły się świata, służyły Bogu we dnie i w nocy, kroczyły przed Nim w świątobliwości i prawdzie. Chcąc uwolnić zgromadzenie od niedostatku, by tym gorliwiej mogły służyć Bogu, aby było użyteczne zaśluga życia swego i pomagało ludziom modlitwą i przykładem, zapisała Kinga tytułem wieczystej darowizny, nieprzymuszoną wolą i nieodwołalnie też ziemię. W akcie wyraźnie zaznaczyła, że nikomu nie wolno naruszać tej darowizny, a kto by śmiały wykroczyć przeciw temu, ściągnie na siebie gniew Boga. (Skutek widzimy na upadłej Austrii, która 1782 roku ręką cesarza Józefa II targnęła się na tę dobrą klasztoru, rabując cenne pamiątki, kosztowności, prawa, dokumenty, oraz fundusz, przeznaczony na kanonizację Kingi). Dokument Kingi umocniony został jej pieczęcią i podpisem Leszka Czarnego, kasztelanów, kapłanów, szlachty i dostojnych gości, a zatwierdził go papież Marcin IV. Resztę funduszu swego oddała Kinga wdowom po książętach krakowskich.

W tak zabezpieczonym klasztorze Kinga mogła spokojnie i cicho pędzić życie. Nie tu jednak był kres jej cierpień od zewnątrz! Oto zdala dochodzą

ce głosy wołają: Tatar, Tatar znów idzie! Kto podwójnie już odczuwał okropnego tego gościa, ten potrójnie teraz drżał i truchlał.

I znów w 1287 r. zgłodniały Tatar z wzmoczoną siłą pędzi do Polski, by jej lupami i żywnością nasycić się po raz trzeci! Idzie ta dzicz przeklęta na Lublin, Podlasie, Mazowsze, Sandomierz, Sieradz, Kraków, dalej i dalej na Podhale, Nowy Targ i Sącz, rozpacz i przerażenie ogarnia wszystkich. Leszek Czarny ucieka na Węgry, a klasztor sądecki zagrożony poważnie. Inaczej w ówczesny wyglądał. Zabudowania mieściły: kościół z kaplicą Matki Boskiej Bolesnej (tam gdzie dziś kaplica bł. Kingi), był tam chór dla zakonnic, jadalnia, sypialnia, sala dla chorych, były małe domki z celami dla zakonnic, by w milczeniu i skupieniu mogły pełnić swe zajęcie zakonne. Mur był dużo niższy niż obecny — nie dawał zabezpieczenia. Kinga, przeczuwając całą groźbę niebezpieczeństwa, każe podwładnym swym robić zasieki i wały obronne, poczym oddawszy się Bogu w opiekę, bierze swą siostrę Jolanę, siostrzenicę Świętosławę i wraz z siedemdziesięciu siostrami zakonnymi puszca się w drogę, by w swym zameczku pienińskim ukryć swe dzieci duchowne przed nawałą dziczy.

Ciężką i trudną była ta wędrówka poprzez lasy, skały, wody, wśród chłodu, spiekoty, głodu i zmęczenia. Legendy ludowe pięknie malują te chwile, jak to z łez Kingi wyrastały białe goździki, a z pod stóp zranionych czerwone, — jak to kamienie, na których nogę wspierały, miękły, rysując jej stopę, — jak znów rzucony grzebień przemienił się w gęsty las, zasłaniający podróżniczkę, jakby murem od wroga, — to znów jak zasłona rzucona wywołała burzę, odstraszącą dzicz tatarską, — jak rzucony różaniec wy dobył z ziemi wysokie skały Pienin, które jakby wieńcem otoczyły uciekające. Opowiadają, że gdy Kinga, ścigana przez Tatarów, szła obok pola, które orał gospodarz, pole owo w jednej chwili pokryło się bujnym, dojrzałym zbożem, — a gdy wróg przybył na to miejsce i pytał gospodarza onego, kiedy królowa Kinga szła tędy — rolnik odpowiedział, że wtenczas, gdy orał to pole. W ten sposób wróg został zmylony; co do czasu na korzyść uciekających.

Szła nasza Kinga z towarzyszkami dalej i dalej, aż wreszcie ukryła się z nimi w niedostępnym dla oka ludzkiego zameczku. Tatarzy zajęwszy wszystkie doliny i wzgórza, przypuścili szturm od

strony Pieninek i Czerwonej Skałki, chcąc zdobyć zameczek pieniński. Łatwo można sobie wyobrazić jakim strachem przejęte były biedne zakonnice, słysząc dzikie krzyki i strzały rozchukanej tuszcy! Kinga w zamkowej swej kapliczce łzami i gorącą modlitwą wzmocniała swą ufność. Ona wierzyła, że Ten, co w przestworzu trzyma ziemię całą, nie dopuści hańby i życie ocali. I wysłuchał Bóg — bo oto gęsta, ciemna chmura zasłoniła zamkową skałę, a ręka Boża strzały wrogów przenosiła het ponad szczyty góry, raniąc po drugiej stronie najdzielniejszych wodzów tatarskich.

Kto widział szalejącą burzę w Tatrach lub Pieninach, ten wie, jakim strachem ona przejmuje najodważniejszych turystów. Taki huragan rozpętał się w onej chwili — huki grzmotów i błyski piorunów do reszty odegnały od zameczka zwyciężoną horde. Sami Tatarzy przyznali, że mieli do czynienia z jakąś nadludzką siłą w osobie Kingi.

Po ucieczce Tatarów Kinga z hymnem dziękczynnym opuściła Pieniny i wróciła z siostrami zakonnymi do sądeckiego klasztoru.

Widzimy, jak ciężkie chwile dopuszczał Bóg na Kingę. Nie załamała się, nie upadła, ale ta mężna niewiasta, silna duchem i od najmłodszych lat dobrowolnym umartwieniem i zaparciem siebie ćwiczona, utwierdzoną była w wierze, nadziei i miłości, więc umiała siebie i swych podwładnych na tym poziomie zawsze i w każdym zdarzeniu utrzymać. Więc czcimy ją, naśladowmy i kochajmy ją serdecznie!

Każda matka, wychowująca dzieci, winna należeć do Zastępu, które organizują członkinie Oddziałów KSK. w każdej wiosce i najmniejszym zakątku parafii.

Zastęp — to szkoła dla matek, to pomoc przy wykonywaniu najtrudniejszego i najbardziej odpowiedzialnego obowiązku, jakim jest wychowanie dzieci, to zachęta, aby wychowanie dzieci było największą radością dla matki, najmilszym zajęciem i prawdziwym zaszczytem!

Matko — ręka twoja ma być ręką artysty rzeźbiarza, którą kształtujesz i urabiasz największe arcydzieło — duszę ludzką, duszę twego dziecięcia!

Staraj się więc o dobre wychowanie dzieci!

Janina Pietrusińska.

Miłości! miłości! jak najwięcej miłości bliźniego!

Ileż to dzisiaj w życiu: zazdrości, kłamstwa i nienawiści.

Ileż łez, goryczy i bólów!
Jak dużo przekleństw i złorzeczeń!
Jak mało radości!

Jak niewiele szczęścia i jak strasznie mało przebaczenia!

W codziennej naszej modlitwie mówimy: „Bądź wola Twoja“, a ileż razy woli Bożej nie spełniamy, zaniedbując święte przykazanie miłości bliźniego. Modlimy się codziennie do Tego, Który jest Miłością samą, a ileż razy z nienawiścią do ludzi się odnosimy. Jakżeż często jesteśmy skłonni do podejrzliwości, spodziewamy się od drugich rzeczy najgorszych, sądzymy, że każdy nas chce skrzywdzić. Jesteśmy w stosunku do drugich pełni zazdrości, pychy, zjadliwości, mściwości.

O, kobiety katolickie! Na obraz i podobieństwo Boże stworzeni jesteśmy wszyscy, na obraz Boga, tak pełnego miłości, przebaczenia i litości! „Człó-

wiek nie jest niczym więcej, tylko tym, czym jest przed Bogiem, a więcej niczym“ — mówi św. Franciszek z Assyżu, — więc czy zazdrość, nienawiść, pycha i mściwość mogą mieć miejsce w stosunkach ludzkich? Czy kobieta, o której dobroci, ba anielskości tyle się mówi i pisze, może odnosić się do otoczenia z podejrzliwością i niechęcią? Czy może uraz nie przebaczyć, nie zapomnieć? Czy zawsze musi własną ambicję zaspokoić?

O kobiety! Pamiętajmy o każdej porze dnia i nocy, że „pokora jest białą siostrą miłości“ — i bądźmy pełne miłości i pokory

Zastanówmy się przez chwilę, czy potrafimy sądzić drugich wedle reguł, które w osądzaniu siebie stosujemy? Czy potrafimy zło u siebie nazwać złem tak, jak często czynimy to sądząc drugich?

O drogie kobiety katolickie! Miejmy dla drugich więcej zrozumienia. Nie sądźmy ich wedle ich stanu majątkowego, nie taksujmy wedle ubrania, nie oceniamy podług ich zewnętrznego wyglądu. Patrzmy głębiej — patrzmy w ich serca! Wypełnijmy hasło Mickiewicza: „Miej serce i patrzaj w serce“. Miłości! Miłości! jak najwięcej miłości!

Oddalmy się od dzisiejszych reguł oceniania ludzi wedle pieniędzy przez nich posiadanych, wedle

ich pozycji społecznych! Patrzmy — czy są uczciwi, szlachetni, dobrzy! Doceniajmy pracę ludzką! Nie patrzmy na to, czy wyszli z pałacu, czy z suterenu, ze znanych czy nieznanymi rodzin, ale patrzmy na ich czyny, na postępowanie.

Nie odgradzajmy się murem chińskim od nędzy ludzkiej, nie zamykajmy oczu na biedę ludzką, nie zatykajmy uszu na krzyk krzywdy ludzkiej! Czasy są dzisiaj ogromnie krytyczne i trzeba dziś miłości! miłości! Nie kto inny tylko my przede wszystkim musimy czynić dobrze, a „najjaśniejsze dobro czyni człowiek, który poznał miłość, albowiem w miłości jest początek wszystkiego“ — mówi Makszyński.

Poznajmy więc miłość i z nią idźmy przez życie. Z miłością odnośmy się do małych i wielkich, młodych i starych. Bądźmy ofiarne i pełne poświęcenia. Nie mówmy — „ten zły, ta niedobra, ten złośliwy, tamta uszczypliwa“, bo:

„Nie ma na świecie ludzi złych, są tylko ludzie nieszczęśliwi.

Nie ma ludzi złych, są tylko ludzie bez miłości, którym należy przebaczyć i nauczyć ich jej, aby się dnia jednego obudziło w nich serce“.

Maria Jordanowa. — Tł. z franc.

Msza św.

Niedziela w zimie — siódma wieczór.

Ludzie biegają grupami lub sami, biegają w milczeniu, zdążając widocznie w jedno miejsce, idą po schodach — drzwi otwiera żebrek. Wprost z ciemności wchodzi do oświetlonego kościoła. Jeden to już, z nielicznych otwartych kościołów.

Jest to sala duża, prawie kwadratowa, ściany ciemno popielate, oświetlone wielkim świecznikiem, wiszącym u sufitu, a potem w dali ołtarz rzeźbiście oświetlony; wysoko przed gwiazdami świec widnieje punkt biały: wystawiona Hostia Przenajświętsza. Krzesel nie ma, albo ich nie wiele, tak gęsto ludzi. Jest dużo kobiet starszych i młodszych, ale są także mężczyźni i kilkoro dzieci.

I wszyscy się modlą, ale modlą tak, jak nigdy nie widziałem — są rozmodleni.

Jedyny ksiądz w mieście, tak jak w każdą niedzielę odprawił już trzy Msze św. — jedną o piątą rano przed zmianą w fabryce, drugą o 10 dla tych, co skończyli służbę nocną, potem o 11.30 przed południem, a teraz o 7 wieczór dla tych, co w dzień pracowali.

I przyszli: obojętni na pogroźki, zapominając o przykładach — świadomi niebezpieczeństw — zdecydowani. Modlą się stojąc, albo na kolanach na ziemi, jak pierwsi chrześcijanie i śpiewają całym sercem. Inni cisi stoją zapatrzeni, inni przesuują paciorki różańca, ale wszyscy wzrok mają utkwiony w białą Hostię...

Są i szpiedzy, ci czynią jak inni — klękają, żegnają się, ale przede wszystkim badają twarze tych, którzy jeszcze ośmielają się przyjść tutaj, aby na godzinę uklęknąć przed Tym, którego egzystencji Lenin dekretem zaprzeczył. Zapamiętają oni dobrze, kto usługuje księdzu przy ołtarzu, kto gra na organach — i tych, którzy samą swoją obecnością świadczą, że wyznają religię, która komunizm uważa za niebezpieczny i śmieszny zarazem.

Dla wszystkich, prócz szpiegów, przyszłość jednaka — wyrzucenie z pracy, dokuczania różnego rodzaju, a jeśli nie wystarczy (a nigdy nie wystarczy) — zesłanie na Sybir, lub na śmierć.

Każdy w tym kościele zna niebezpieczeństwo —

i ten mężczyzna o pięknej, inteligentnej twarzy — i ta blada kobieta — i ten robotnik, na którym widać zmęczenie ciężką pracą — i ten uczeń, który wie, jak go w szkole prześladować będą. Wszyscy wiedzą, a jednak są...

Obok mnie oparta o ścianę stała młoda dziewczyna w brązowym płaszczu — beret czerwony na głowie. Nic w niej szczególnego. Dopiero w czasie Ofiarowania zaczęła śpiewać. Nie mogłem z początku zorientować się, kto śpiewa, ale przekonałem się, że to ona śpiewała. Głos miała niewielki, ale o niezwykłej czystości tonu, a tyle było boleści w jej śpiewie... Od czasu do czasu kaszlała i wtedy policzki bardzo blade, na chwilę się zaróżowiły.

Czy jej wiara była tak silna, że jej śpiew brzmiał taką gorącą modlitwą?... Nic nie widziałam w okół siebie. Oczy miała utkwione w Hostię — stała nieruchoma jak w zachwycie — tylko wargi się poruszały... i czasem ręce podnosiła do ust, jak kaszlała... Odczuwałem, że daleko jest i od fabryki i od fotografii Lenina — daleko od konferencji i kursów komunistycznych — daleko od koleżanek i ich miłośnek — i od szkół, gdzie uczą dzieci nienawiści do rodziców. Daleką była od tego świata, gdzie każdy jest samotny, gdzie trzeba się obawiać brata i ojca — gdzie takie zimno — taka pustka...

I była szczęśliwa, że jest tutaj, że może wierzyć we wszystko, w co zawsze wierzyła...

Dużo osób przystąpiło do Komunii św.

Wreszcie skończyło się nabożeństwo...

Ale nikt nie wychodził... Ołtarz zgaszony, ale jeszcze śpiewają, jeszcze się modlą...

Stałem w ciemnym miejscu — u drzwi stoja ci, którzy wyjdą pierwsi i prosić będą o jałmużnę: jest dwóch ślepych, stara kobieta, siedząca na ziemi i pop o siwej brodzie i inni. Już wychodzą... idę za nimi.

Wiatr ustał, śnieg pada. Patrzę się na wychodzących — co za zmiana w wyrazie twarzy — teraz obojętni, zrezygnowani. Młoda dziewczyna wyszła... jaka blada? Głowę spuściła — idzie szybko — skromna, a taka wątła.

Nagle patrzę i oczom nie chcę wierzyć? Gardło mi ścisnęło... Widzę to, o czym mi nieraz mówiono, a w co wierzyć nie chciałem: dwóch ludzi zbliża się do dziewczyny i słyszę tragiczne zdanie — takie bez znaczenia dla niewtajemniczonych, a takie

straszne w skutkach: „Proszę iść za mną“.

I między nimi, jeszcze drobniejsza, młoda suchotnica poszła...

Spostrzegli tę scenę wychodzący z kościoła, ale nikt nic nie powiedział — i ci, co najbliżej stali. Bo nic nie ma do powiedzenia, nic do zrobienia...

W kilka godzin później spotkałem znajomego Polaka — wiedziałem, że człowiek gorącej wiary. Opowiedziałem, co widziałem. Wiedział już o tym. Był spokojny jak zwykle — tylko oczy miał smutniejsze!

„Tak już wiem, to moja siostrzenica, o której Panu mówiłem. Zeszłej niedzieli już ją zaprowadził do G. P. U. — wymawiali, że grała na organach i zabronili wracać do kościoła. Ale pan widzi? Wróciła, a co będzie teraz? Obawiam się“...

I Polak zdania nie dokończył.

Też samej nocy był on zbudzony o 2 w nocy przez matkę owej młodej osoby, która zrozpaczona powiedziała mu, że córka dotąd nie wróciła...

W dwa miesiące później opuszczałem Sowiety. W wilię wyjazdu poszedłem odwiedzić Polaka: siostrzenica jego nie wróciła do domu. Nikt nie miał o niej wiadomości. Nikt już ich nigdy mieć nie będzie. I to było w Sowietach...

Proboszcz odprawił mszę i cierpiał niewymownie, odczuwając pustkę za sobą, w okół siebie, wszędzie:

Pustka kościoła bez wiernych, pustka dusz bez Boga.

I to była Francja...

A u nas w Polsce?

Jak nieraz bywa pusto w kościele? Nie tylko w dzień powszedni, ale i w niedzielę? Jakże mało mężczyzn? Młodzieży męskiej?

Ważnym zadaniem kobiety, żony i matki jest przede wszystkim bywanie samej w kościele, ale równocześnie winna ona nakłaniać swoich domowników, by wszyscy obowiązek chrześcijański spełniali... Pamiętajmy: jeśli będzie u nas tak, jak we Francji, to potem będzie u nas tak, jak w Rosji Sowieckiej...

Janina Pietrusińska.

Źródło szczęścia i umocnienia.

Są różne chwile w życiu kobiety. Są złe i dobre, wesołe i bolesne, pełne wiary i zwątpień, miłości i nienawiści, szczęścia i goryczy.

Matko katolicka! Troszczysz się o to, czy wychowaniem syna dobrze pokierowałaś, czyś czego nie zaniedbała, nie zaniechała. Martwisz się o wszystko — ty matko, — której każdy czyn i każde słowo jest szczęściem dziecka kierowane. Ty — dla której życie o tyle przedstawia wartość, o ile dobrze w nim jest dziecku twojemu. Uśmiech dziecka jest twoim uśmiechem — jego radość twoją radością — jego szczęście twoim najwyższym szczęściem. Martwisz się o przyszłość córki, boisz się, by nie szła samotna przez życie, — pragniesz, by miała w przeznaczonym przez Boga mężczyźnie oparcie i podporę. Krzątasz się i męczysz ustawicznie. A jednak życie nie szczydzi ci goryczy.

Popatrz na twe życie pełne ofiary i poświęceń,

pełne świętego zaparcia się siebie, a dojrzyś w nim tyle łez, że przetrzesz oczy i powiesz sobie: „Jak ja mogłam tyle przecierpieć“?

O! matko — mogłaś, bo zawsze pamiętałaś o Matce Najświętszej, która jest dla ciebie wzorem macierzyńskich uczuć, myśli i czynów. Mogłaś, bo z serca swego czerpałaś moc i siłę do wytrwania.

Dlatego też, o! matko droga, patrz jasnymi oczyma w przyszłość. Spodziewaj się radosnych i dobrych chwil. Ale przygotuj się i na dalsze niepowodzenia i cierpienia, ufając, że po nocy dzień wschodzi, że światłość rozprasza ciemności, że dobro złe zwyciężyć musi. Czerp moc z modlitwy, z poddania się Woli Bożej. Bądź jednak dumna z misji życia twego i nie załamuj się, nie złorzecz, nie wąp i nie bluźnij, ale wierz, koniecznie wierz, że Stwórca nigdy cię nie opuści. Uciekaj się do Tej, która od wieków nikogo nie opuściła.

A ty żono katolicka? Ile złych godzin już przeżyłaś i ile jeszcze cię ich czeka. Czy wiesz, skąd masz czerpać siły na te przedługie godziny ocze-

kiwania na męża, na te wszystkie złe, a tak krwawiące twe serce chwile samotności, kiedy dom męża twego przestanie zajmować, kiedy będzie niecierpliw i szorstki, kiedy nie doceni pracy twojej, ogromu twojej miłości, kiedy w słowach twoich będzie szukał okazji do sprzeczki. Czy będziesz miała tyle cierpliwości, by wiele przebaczyć, wiele zrozumieć, wiele zapomnieć? Czy będziesz umiała być stanowczą, ale i dobrą i miłosierną? Czy będziesz miała siły do podparcia go w chwilach, kiedy on się duchowo, czy życiowo załamie? Gdzie zaczerpniesz sił, gdy zmęczona czuwać będziesz przy łóżku jego, gdy złożony chorobą, wyda ci się ciężarem nie do zniesienia? Skąd weźmiesz uśmiech na ustach i radość w oczach, gdy jemu wyda się życie szare i beznadziejne?

O żono katolicka!

Tylko z serca twego, przepojonego miłością do męża swego!

Tylko z serdecznej modlitwy i z wiary w Tego, który powiedział: „Ufajcie, Jam zwyciężył świat“.